

SANDMAN
DREAM NIGHTS



NEIL
GAIMAN

INCLUDES
A SNEAK PEEK
AT NEIL GAIMAN'S
NEW NOVEL,
ANANSI BOYS

AMERICAN
GODS

[Recenzja] Serial "Amerykańscy bogowie"

nimfa bagienna



Pierwsze wrażenia

Od końca kwietnia widzowie mogą oglądać pierwszą serię „Amerykańskich bogów” („American Gods”). Stacja Starz wyemitowała już czwarty epizod spośród ośmiu zaplanowanych odcinków, chociaż jeszcze przed właściwą emisją było wiadomo, że zostanie nakręcony przynajmniej drugi sezon serialu. Oglądalność utrzymuje się na względnie stałym poziomie, lecz nie może szczególnie zachwycać. Krytycy z kolei doceniają kunszt aktorski i intrygę. Wydaje się zatem, że jest to najwyższy czas na poczynienie wstępnych komentarzy i uwag.

Tylko dla porządku należy przypomnieć, że podstawę dla scenariusza, napisanego przez Bryana Fullera i Michaela Greena, stanowiła powieść z 2001 roku „Amerykańscy bogowie” autorstwa Neila Gaimana. Za książkę angielski pisarz został wyróżniony najważniejszymi nagrodami literackimi (Nagrodą Hugo, Nebulą, Nagrodą Locusa oraz Nagrodą Brama Stokera).

Czołówka

Początek serialu tylko pozornie nie ma dla niego znaczenia. Teoretycznie oderwany od fabuły, stanowi wyłącznie dodatek dla właściwych treści. Ale tak naprawdę to właśnie po latach, a nawet miesiącach, czy już dniach od emisji widz pamięta tylko o czołówce. Współwystępujący obraz i dźwięk zapisują się w pamięci, odciskają swoim intrygującym lub irytującym charakterem swoiste piętno. Jeśli ktoś w to nie wierzy, niech zwróci uwagę, co pierwsze przypomina mu się pod wpływem następujących tytułów: „Policjanci z Miami” („Miami Vice”), „Crime Story”, „Cudowne lata” („The Wonder Years”), „Archiwum X” („X-Files”) czy nawet „Gra o tron” („Game of Thrones”).

I właśnie czołówkę „Gry o tron” najbardziej przypomina otwarcie „Amerykańskich bogów”, co w żadnym wypadku nie należy traktować jak zalety. Pod tym względem serial na podstawie prozy Gaimana zawodzi; zarówno wizualnie, jak i muzycznie. Początek jest nijaki, bezbarwny i oderwany od klimatu znanego z powieści. Prezentowana symbolika może być zrozumiała (przynajmniej początkowo) tylko dla czytelników książki. Dla osób niezających fabuły może wydawać się co najmniej enigmatyczna. I częściowo zdradzać kryjące się za nią zagadki.

Efekt tajemniczości – jak należy domniemywać, taki zamysł mieli autorzy – mają potęgować najazdy kamery, ciemne barwy, mroczne tło i mgła, z której wyłaniają się kolejne neony. Niestety, w połączeniu z muzyką opierającą się o bębny i chór, czołówka „Amerykańskich bogów” sprawia wrażenie produktu dość nieprofesjonalnego.

Obsada

W przypadku filmowych adaptacji trudno o bardziej kontrowersyjną rzecz. Dobór aktorów staje się nierzadko przedmiotem wielu mniej lub bardziej zażartych dyskusji, zwłaszcza wśród radykalnych miłośników. Z pewnością osoba wcielająca się w daną postać włada przez długi czas wyobraźnią przynajmniej części publiczności.

Kwestia obsady „Amerykańskich bogów” nie wywoływała poważnych sporów, było wręcz odwrotnie. Nazwiska kolejnych artystów przypisanych do konkretnych bohaterów spotykały się raczej z dużym entuzjazmem. Dotychczasowa praktyka pokazała, że te optymistyczne oceny nie były bezpodstawne.

W głównego protagonistę historii, Cienia, wciela się Ricky Whittle. Bez wątpienia swoją aparycją jest „dostatecznie rosy i wygląda dostatecznie groźnie” (w oryginalnej wersji brzmi to lepiej: „big enough and looked don't-fuck-with-me enough”). W zestawieniu z książkowym pierwowzorem jego gra jest zbyt ekspresyjna, mniej w niej inteligentnego cynizmu, a więcej ulicznego cwaniactwa. Natomiast Whittle oddaje charakter postaci, która zostaje rzucona przez los w wir coraz bardziej fantastycznych wydarzeń.

Nieco bardziej krytycznym można być w stosunku do Iana McShane'a, czyli Pana Wednesdaya. Nie chodzi bynajmniej o zupełne rozminięcie się z wyglądem (zarówno McShane'a, jak i jego kostiumu), co do którego można by rzeczywiście mieć uwagi, ale o brak odpowiedniego wrażenia. Ponownie odwołując się do książki, wykreowany przez Gaimana Pan Wednesday niemal od razu okazuje się wszechpotężny i demoniczny zarazem, od czego przechodzą po plechach ciarki. Pan Wednesday Iana McShane'a jest dość sympatyczny i wyjątkowo ironiczny. To trochę typ uroczego drania; w „Amerykańskich bogach” to nie jest rola Pana Wednesdaya.

Mimo to Ricky Whittle i Ian McShane tworzą zgrany duet. Widać tworzącą się między bohaterami więź, wywodzącą się z pierwotnej relacji nauczyciela i ucznia. To właściwie wystarcza do przymknięcia oczu na wyżej wymienione niedociągnięcia.

Jednak to aktorzy drugiego planu zasługują na specjalne wyróżnienie. Pablo Schreiber jako Szalony Sweeney, Peter Stormare jako Czernobog czy Orlando Jones wcielający się w postać Pana Nancy'ego bezpardonowo dominują na ekranie. Sugestywna gra wymienionej trójki, ocierająca się niekiedy o granice parodii, pozwala uwierzyć w ich postacie oraz całą toczącą się opowieść.

Fabula

W trakcie produkcji twórcy - z Gaimanem na czele - zapowiadali, że serial będzie równie interesujący dla osób znających książkę, jak i tych, którzy nigdy po nią nie sięgnęli. W domyśle chodziło o pojawienie się nowych wątków i postaci, co znalazło potwierdzenie w komunikatach z planu. Tego typu postępowanie nie powinno wzbudzać entuzjazmu - wystarczy przypomnieć sobie niedawną adaptację „Hobbita, czyli tam i z powrotem” („The Hobbit or There and Back Again”) - nawet gdy nadzór nad scenariuszem sprawuje sam pisarz, efekty wywołują mieszane uczucia.

Do trzeciego epizodu filmowa opowieść nie odstawała radykalnie od historii książkowej. Można było dostrzec pewne różnice w niektórych scenach czy ich inną kolejność. Nieznacznie rozbudowana została rozmowa Cienia z Audrey, żoną najlepszego przyjaciela. Więcej razy i wcześniej pojawia się Szalony Sweeney. Trochę inaczej przebiega gra w warcaby z Czernobogiem. Dopiero czwarty odcinek stanowi całkowitą fabularną nowość, ukazującą przeszłość Cienia i jego żony Laury (dzięki czemu jej postać staje się może niekonieczne sympatyczniejsza, ale na pewno ciekawsza; niestety kosztem Cienia).

Fani wierni prozie Neila Gaimana zapewne tylko się cieszą. Niesłusznie. Pierwsze epizody „Amerykańskich bogów” okazują się bowiem wyjątkowo hermetyczne, zrozumiałe zapewne wyłącznie

dla czytelników. Na przykład spotkanie Cienia i Pana Wednesdaya jest chaotyczne i zbyt szybko rozegrane. Fakt, że jest wierne książce – nawet pod względem niektórych dialogów – tylko pogarsza sprawę, ponieważ w serialu brakuje wszechwiedzącego narratora, komentującego toczące się wydarzenia. Podobnie, o ile na pochwałę zasługują wspomnienia z przybycia do Ameryki w pierwszym i drugim odcinku, o tyle pozbawione sensu jest przywoływanie bez żadnego wyjaśnienia Bilquis. Paradoksalnie dużo lepiej wypadają sceny, których nie ma w książce. Przypuszczalnie jest to efekt ich stworzenia od razu z myślą o telewizji, czyli medium wizualnym.

Ostateczną ocenę fabuły będzie można wydać nie tylko po upublicznieniu wszystkich epizodów, lecz również po obejrzeniu części przygotowanych wyłącznie na potrzeby serialu. Opowieść Neila Gaimana, przynajmniej na pierwszy rzut oka, nie zostawiła w tym zakresie dużego pola manewru. W konsekwencji trudno będzie wpleść nowych bohaterów i rozbudować przygody Cienia tak, by nie pociągało to za sobą przekonania o niepotrzebnym rozwleczeniu i tak bogatej w treści historii.

Podsumowanie

Po kilku pierwszych odcinkach trudno przypuszczać, by w przyjętej przez autorów konwencji serial „Amerykańscy bogowie” doczekał się szerokiej publiczności. Jednocześnie ma szansę stać się dziełem, które w przyszłości będzie mieć rzeszę wiernych fanów. Niewątpliwie na razie przeznaczony jest przede wszystkim dla czytelników prozy Gaimana, ciekawych jej zaadaptowania na potrzeby telewizji. Pozostałe osoby muszą wykazać się dużo większą cierpliwością i samozaparciem, by odnaleźć sens historii i wytrwać do jej końca. Jak wiedzą wszyscy czytelnicy – naprawdę warto.

Maciej Tomczak